

Tu helikopter!

BURZYŃSKI LECIAŁ Z REKORDZISTKĄ ŚWIATA, NATOMIAST WASZ REPORTER Z GENERAŁEM. TYLKO, ŻE ON SZYBOWCEM, A JA HELIKOPTEREM. NIECH I MNIE WOLNO BĘDZIE PODZIELIĆ SIĘ WRAZENIAMI Z PIERWSZEGO LOTU ŚMIGŁOWCEM.

Tuż przed lotniskiem dosięgły nas pierwsze krople deszczu. Gdy mijaliśmy bramę lotniska, lato na dobre. Strugi wody spływały po szynach wozu. Betonowa płyta pola startowego imitowała by udanie połyskliwą tafłę lodowiska, gdyby nie helikopter.

Stał nieco z boku, rozkraczony na krótkich, palakowatych odnóżach — przepaszam — kołach. Z daleka przypominał brzuchatego owada — potworka z długim ogonem i ster

ładować niemal wszędzie, nawet na bagnie. No, naturalnie, jeśli to nie jest trzęsawisko.

— Bardzo panu dziękuję — rzekłam uspokojona.

Z dołu padła komenda: start! Nawet nie zauważyłam kiedy przestało padać.

Mechanik kapral Wodziecki zamknął drzwi. Pierwszy pilot, por. Stanisław Michniewski zajął swoje miejsce w kabine. Do helikoptera podjechała „teleżka” (wózek z baterią aku-

A więc lecimy aż z taką szybkością? Byłam przekonana, że stoimy niemal w miejscu.

Spojrzałam w dół. Pod nami przesuwali się szachownice zielono-żółtych pól. Widać było stłamszone po burzy łany zboża, w których uwieźły kosi żniwiarek. Po ulewie, która wtedy przeszła przed kwadrans, praca na polach zamarała. Z prawej strony powitały nas białe punkciki żaglówek na Jeziorze Kierskim. Mineliśmy Rokietnicę.

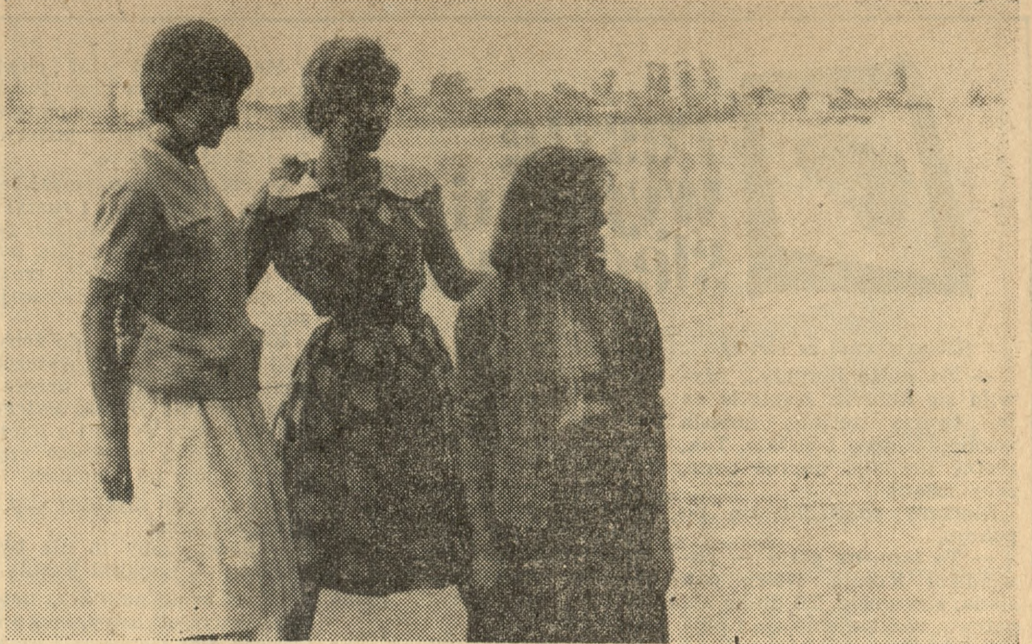
Hałas silnika straszył ptactwo w promieniu dobrego kilometra. Kury z jakiejś fermy wyfrunęły aż za ogrodzenie. Po łące znów pędziło na łeb na szyję stłoczone stado owiec. Konie podrywały się do galopu. Jedynie krowy zachowywały filozoficzny spokój.

Pasy łąk, pojawiające się coraz częściej wśród lasów, oka jezior (co za fantastyczny kolor!) oznaczały, że byliśmy nad piękną Ziemią Międzychodzka. Z lotu ptaka wyglądała jeszcze atrakcyjniej. Widzieliśmy doskonale samotne jelenie na przecinkach, a nawet całe stada saren, pasące się na polanach. Nad jeziorami polatywały niespokojnie czaple. Bociany, niezadowolone z przerwanej żurki, odfruwali w spokojniejsze okolice.

W dole pojawiła się wstęga rzeki i jakieś miasteczko. Po rozkładzie ulic i wyglądzie domów rozpoznałam Sieraków. Zatem przelecieliśmy nad Wartą. Zegar wskazywał godzinę 14.45. Pod nami rozpostarł się zielony dywan Puszczy Noteckiej. Wkrótce też mineliśmy granicę woj. poznańskiego.

Tu w sercu puszczy, mniej więcej sto kilometrów od Poznania, miał lądować nasz pojazd. Białoczerwona flaga na maszcie i szare namioty wśród drzew nad jeziorem zapowiadały rychły cel podróży. Śmigłowiec powoli obniżał lot nad upatrzoną polaną. Z daleka nadbiegły harce, wymachując chustkami. Bez najmniejszego wstrząsu helikopter dotknął kołami ziemi, na której stanęłam zadowolona. Lot był bardzo ciekawy, ale człowiek najpewniej czuje się na czymś stałym. Oczywiście — o ile nie jest pilotem...

Maria Kempara



Cząstkę Polski zawiozą do swoich Mericourt, Sallaumiens...

Jest też oczywiście także: Monique, Viviane, Anne — Marie ... Są nawet małe obywatelki francuskie, których rodzice mimo wszystko języka polskiego nauczyli, a na hasło: „ojczyzna” nauczyli odzewu: „Polska”. Nad zielonym kręgiem trawnika powiewa przed frontem domu białoczerwona flaga; podczas uroczystości wszystkie buzie jednakowo głosno i pewnie śpiewają słowa hymnu polskiego; na pierwszych kartkach pamiątkowych zeszytów, wypełnionych wspomnieniami o polskich wakacjach, które każda z nich zabierze ze sobą do domu — widnieją białe orzeł na czerwonym polu. Każdego dnia ciemne i jasne główki, przez jakiś tam ściśle określony czas, pilnie pochylają się nad zeszytami, słuchając słów nauczycielki, przepisując słowa z tablicy. Każdego dnia odbywa się na kolonii lekcja języka polskiego.

„Wie pani!” — mówi do mnie sympatyczna organizatorka tych lekcji — „one mi potem piszą dziesiątki, setki listów. Czasem już nie mam siły na wszystkie odpowiadać. Jedną mi kiedyś pisze, że swego ojca uczy nowych słów polskich, których on nie zna. Może i takich — wie pani — których wtedy w słowniku polskim wcale nie było. To też cząstka naszego nowego życia, którego obraz one ze sobą zabierają”.

W półkolistych rzędach równiutko ustawionych krzeseł siedzą goście. Kilku panów w ciemnych garniturach, kilka pań w taftowych sukniach. Kolonia jest na ich przywitanie odświętnie wystrojona. „Francuzki” rozpuściły na ramiona długie, przytrzymane przepaskami włosy, spod efektownych (dużo nylonu i prześlicznie żywe barwy) sukienek wyglądają kokieteryjnie koronkowe żabki sztywnych halek. Mamusia znad Sekwany ubiera jej swoje pociechy w stylu „mała kobietka”. Takie małe-dorośle osobki, ale bardzo wdzięczne. Nasze szamotulanki też „na dorosłość”: białe suknie do kostek, różowe i niebieskie serdaczki, różowe zapaski, na głowie koronkowe czepki. Po zamienionym w estradę środku świetlicy kręca się w posuwistym „chodzonym”, podśpiewujące pary. Małe nóżki w czarnych, jedwabnych pończ.

(Ciąg dalszy na str. 2)



czącymi wojowniczo na boki wąsami śmigła. Auto wojskowe wyglądało przy nim jak biedronka przy chrabąszczu.

Pod zimnym prysznicem deszczu przeskokiliśmy niewielką przestrzeń, aby po chwili przywitać się z generałem brygady Janem Raczkowskim i resztą załogi. Razem z obsługą (trzyosobowa: dwóch pilotów i mechanik) fotoreporterami miało polecieć 14 osób.

Ciężkie krople dzwoniły uparcie o pancierz naszego „chrabąszcza”. Na dodatek zaczęły tłuc o szyby grad.

— Istny potop! — mruknął jeden z pilotów, patrząc z niepokojem na zegarek. Mijała właśnie wyznaczona godzina startu: czternasta zero zero. Generał spochmurniał. Wszyscy wiedzieli, jak uwielbia punktualność.

— Niech się pani nie martwi. Polecimy — uśmiechnął się, widząc moje rozczarowanie.

Wobec tak autorytatywnego zapewnienia, wdrapałam się po drabinie na „pięterko” — do kabiny pilota. Tu porucznik Piotr Sokolek wygłosił takie oto, przystępny dla zwykłego śmiertelnika, wykład:

— Te sterujące po bokach łopaty śmigła spełniają rolę skrzydeł, steru głębokości (opadanie, wznoszenie) i lotek. Opór ich likwiduje ruch obrotowy śmigłowca wokół własnej osi. A tamte skrzydełko ogonowe spełnia rolę steru kierunkowego.

Spojrzałam na zegary. — Ile ich jest i o czego służą — spytałam wprost.

— Trzydzieści — odparł pilot i zaczął cierpliwie objaśniać: — Te z prawej strony, to grupa śmigło-silnikowa. Prosto spojrzeć: szybkościomierze, sztuczne horyzonty... uruchamia się taki przyrząd, gdy jest mgła. A tu po lewej stronie widzi pani grupę zegarów pilotażowo-nawigacyjnych. Poza tym jest, o tam u góry, 96 różnych przełączników.

Popatrzyłam z szacunkiem. Pomna jednak przestróg redakcyjnych kolegów, zapytałam nieufnie:

— A jeżeli się któryś z tych mechanizmów zepsuje?

— To zastępuje go inny.

— A jeśli zawiedzie silnik?

— nie ustępowałam.

— Wtedy śmigłowiec opada jak spadochron. Może przecież

mulatorów), włączono z boku kabel, niczym do żelazka. Silnik ruszył. Jego warkot potęgował się z każdą chwilą i o godzinie 14 miunt 13 nasz „Mi-4” potoczył się w kierunku murawy lotniska, a po chwili wznosił się prostopadłe do góry.

Budynki gwałtownie malały. Z oddali wabiła kolorowa panorama miasta.

— Jaka wysokość? — zapytałam. Ale głos zginął całkowicie w warkocie silnika. Major Zygmunt Bulzacki coś mówił. Nie rozumiałam ani słowa. Wyglądaliśmy jak para głuchoniemych. Po nieudanej próbie rozmowy na migi zaczęłam korespondencję notesową.

— Proszę podać mi wysokość i szybkość śmigłowca.

— 100 metrów i 140 km/godz. — przeczytałam w odpowiedzi.

JANUSZ BINIEK



resztę wyjaśni śledztwo...

Mały sierżant słuchał nie przerywając. Ołówek między jego palcami wykonywał coraz szybsze półkola, a twarz tężała w rosnącej niechęci. Gdy zdyszany Kotula przestał mówić, sierżant podniósł na niego oczy.

— Czy wy, obywatelu Kotula — zerknął do dowodu — Marian, jesteście pewni co do tego wypadku?

— Wypadku? — Kotula uniósł ramiona. — Przecież mówię, że go zamordowano. Zamordowano! — powtórzył, pochylając się nad barierką.

Sierżant zamknął zeszyt leżący na stole poplamionym atramentem jakby bał się, że przybysz pozna treść urzędowych notatek.

— Przyczynę zgonu ustali ekspertyza lekarska — powiedział sucho. A może — dodał — może ten człowiek żyje? Powiadomił kogoś lekarza?

— Przecież ma głowę

prawie na pół rozwaloną — rzekł z wyrzutem Kotula. Mówilem, odtąd dotąd — pokazał.

Mały sierżant skrzywił się z niesmakiem.

— No dobrze — powiedział — wstał, obciążając pas.

— Co dobrze? — spytał Kotula. Zupełnie niedobrze. Przecież ktoś mu roz-

walił głowę. Człowiek nie może być życia pewny, a pan mówi dobrze.

— Wszystko wyjaśni śledztwo — powtórzył sierżant ciwko stając przed odzianym od ulicy zielonymi sztachetami. Między płotem a szarą popękaną ścianą domu mieścił się ogródek, pusty o tej porze i smutny. Przystanęli przy drzwiach i kiedy Kotula mocował się

Założył czapkę i zadzwonił po lekarza.

— Gdzie to było, jak mówicie? — zwrócił się do Kotuli.

— Ulica Krzywa naprzeciw browaru — odpowiedział Kotula. Zupełnie niedaleko.

Sierżant powtórzył adres. — Wypadek — dodał do słuchawki. A może, hm, coś innego. Czekamy.

Zaraz za rogiem zadymka objęła ich mocno. Była niedziela, i o tej porze spotkali tylko kilka starszerek, spieszących do domu z pierwszego nabożeństwa. Wiatr targał ich czarnymi spodnicami, rękami uzbrojonymi w książeczki osłaniały twarz. Mały sierżant i Kotula przemycali się wzdłuż ścian, nie odzywając się do siebie. Nie dochodząc do rynku, skręcili w lewo. Zbudowania kończyły się widocznie niedaleko, gdyż uderzenia wiatru stały się silniejsze. Z prawej strony wynurzył się przysadzisty budynek browaru. Naprzeciwko stał mały domek oddzielony od ulicy zielonymi sztachetami. Między płotem a szarą popękaną ścianą domu mieścił się ogródek, pusty o tej porze i smutny.

Przystanęli przy drzwiach i kiedy Kotula mocował się

z zamkiem, mały sierżant spytał:

— Kto tu mieszka oprócz tego, no, denata?

— Nikt, panie sierżancie, to znaczy nikt poza nami. Oni mieszkali na pierwszym piętrze, my na parterze.

— Czy on mieszkał sam?

— Sam? Jak to? Nie znał go pan? Mieszkał tu już trzydzieści lat.

— Wiem — powiedział sierżant. Tu się wszystkich zna — dodał z westchnieniem. No, co z tymi drzwiami?

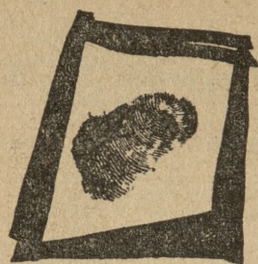
— Już, panie sierżancie...

Weszli do mrocznej sionki. Kotula otworzył drzwi na prawo. Na krześle w przeciwnym kącie siedziała kobieta, z rękami sztywno przyciśniętymi do ciała. Na widok mężczyzny podniosła się i zaraz usiadła z powrotem w tej samej nienaturalnej pozycji.

— Ona wróciła i poszła na górę — rzekła bezbarwnym głosem.

— To moja żona — wyjaśnił Kotula. Niech pan się nie dziwi, jest mocno przestraszona i może mówić od rzeczy. Taka historia... Prosiła, żebym wrócił jak najprędzej. Zmarł mój, Wikciu — rzekł do żony.

(Dokończenie na str. 2)



resztę wyjaśni śledztwo...

(Dokończenie ze str. 1)

— To może herbaty... ożywia się kobieta. Napiecie na jej twarzy zółta, uniosła swobodnie ręce i wstała. Tak, zrobię herbaty, poproszę pana, żeby usiadł.

Sierżant rozglądał się po pokoju.

— To tam, na górze — powiedział Kotula. Niech pan siada, sierżancie. To długo nie potrwa, rozgrzejemy się i pójdziemy. To... nie ucieknie. I tak poczekamy chyba na lekarza.

Sierżant ważył w myślach propozycję, wreszcie usiadł, powoli i ostrożnie, jakby chciał zbadać wytrzymałość krzesła.

— Jak to było? — spytał.

— A więc, panie sierżancie, sam się zdziwiłem, bardzo. Przez całą drogę nie mogłem pojąć, jak to się stało. Mieszkał tu już trzydzieści lat, on miał rentę, czasem syn też przysyłał, piękne rzeczy przychodziły w paczkach, sam widziałem. O, tę suknię, którą pana żona miała na akademii, to właśnie kupiła od nich.

— To nie ma związku ze sprawą — przerwał sierżant. Gdzie mieszka ten syn?

— O, daleko, panie sierżancie. W Ameryce. Benes Ares, w Meksyku.

— W Ameryce? — zainteresował się sierżant, coś mu się widocznie przypominało, ale po chwili machnął ręką. No i co dalej?

— A więc mieszkał z żoną zupełnie sam. Od trzydziestu lat. Mówię panu — wzorowe małżeństwo. Zawsze razem. I nigdy się nie kłócili. Bardzo się kochali, panie sierżancie. Aż tu nagle, dziś, przed godziną, zastanowiło mnie dlaczego tam tak cicho.

— Przecież zeznacie, że denat nie kłócił się z małżonką.

— Nie.

— No więc co was uderzyło?

— Oni wcześniej wstawali. W każdą niedzielę szli przykładać do kościoła. Zawsze na ósmą rano. A dziś — martwa cisza. Myślę sobie, zaspali czy co? Zyliszy z nimi w przyjaźni, bo mili byli ludzie, więc kiedy byłem na korytarzu, zawołałem: panie Stefanie, śpić jeszcze? I nic.

— Co nie?

— No, nikt się nie odezwał. Zobaczyłem natomiast strumyk, ściekający ze stopni.

— Co takiego? — wzdygnął się sierżant.

— Widocznie kran był nie dokręcony, bo woda ściekała aż na parter. Poszedłem więc na górę. Drzwi od pokoju były uchylone, a on, ten... no, denat, leżał niedaleko drzwi. W ręku jeszcze trzymał brzytwę. Widocznie zabierał się do golenia, gdyż na podłodze leżała miseczka i namydlony pędzel. Mówię panu...

— Czy nikogo żęście nie zauważyli? — spytał szybko sierżant.

— Nie, nikogo. Jej też nie było. Kto by się spodziewał czegoś takiego. Mówię panu, głowa zupełnie...

— O czym mówicie? — ze złością się sierżant. I nie nawracajcie ciągle do tej głowy! A... a nie ruszaliście niczego na górze? — spojrzał podejrzliwie.

— Zaraz zbiegłem na dół, uprzedziłem żonę i popędziłem na posterunek. Żona bardzo się wystraszyła, musiałem jej dać waleriany, ale zaraz po tym poszedłem tak szybko jak tylko mogłem.

— Hm... — mały sierżant spoglądał coraz bardziej podejrzliwie. — Wy byliście pierwszym osobnikiem, który odnalazł denata?

— Przecież mówię — Kotula urwał i zamrugał oczami. — Panie sierżancie, ja zupełnie nie przypuszczałem, wcale bym tam nie poszedł, ale...

— Dobrze, dobrze, śledztwo ustali — powiedział sierżant. — Czy nie zauważyliście w ciągu tej nocy lub ranka jakiegoś obcego osobnika?

— Kogo, panie sierżancie?

— Osobnika. No, kogoś obcego.

— Nie. Niemożliwe. Bramę zawsze zamykam o zmroku. Tej bramy nie da się otworzyć po cichu nawet właściwym kluczem, a my śpimy bardzo czujnie.

— Zatem — powiedział sierżant — zatem przestępcy czyn został popełniony przez kogoś z mieszkańców.

— Tak wychodzi. Straszne. Kto by przypuszczał, panie sierżancie?...

— Tak — rzekł sierżant, patrząc w kąt pokoju. — Zaraz przyjdzie lekarz i ustali przyczynę zgonu. Wy pójdzicie przodem.

— O, herbata — powiedział Kotula — ośrodku dobrze?

— Niech się pan nie kępuje, dobrze robi na to zimno — rzekła kobieta, stawiając na stole dwie szklanki.

Sierżant wstał i potrząsnął głową.

— Nie mogę. Jestem służbowo — ciągle patrzył na dymiące szklanki. — Pójdziemy teraz na górę.

Mały sierżant stał chwilę nieruchomo, na jego twarzy zdumienie walczyło z podejrzliwością. Wreszcie poderwał się i nałożył czapkę.

— Proszę nie opuszczać tego pokoju — krzyknął i ruszył w stronę drzwi. — Ach, jest pan nareszcie, doktorze! Nie wolno nikomu wychodzić, zrozumiano? — rzucił, odwracając się.

Kotula zbliżył się do żony i ujął ją za rękę. Pomarszczona dłoń starej kobiety drżała i była zupełnie zimna. Patrzyli na zamknięte drzwi i z napięciem słuchali odgłosów ciężkich kroków po schodach.

— Jak... jak myślisz? Czy to naprawdę ona?

— Boże, żeby to nie była prawda! — wyjąkał Kotula.

Teraz kroki umilkły, natomiast usłyszeli ostry, lekko wibrujący głos sierżanta i czyjeś ciche odpowiedzi, jednak żadnego słowa nie można było zrozumieć. Po chwili ciężkie kroki znów rozległy się na schodach i w drzwiach stanął mały sierżant. Jego oczy biegały bezradnie, ręce machinalnie poprawiały pas.

— Niech się pan napije, panie sierżancie, jeszcze nie wystygła — rzekł cicho Kotula.

Sierżant podszedł do stołu i wychylił duszkiem szklankę.

— Uprzedzałem ją, co to znaczy — powiedział. — Dwa razy jej to powtarzałem. Od-



Il.: Lech Susicki

— Ja też? — spytała żona Kotuli, przyciskając łokieć do ciała.

— No, niekoniecznie. Proszę tylko się nie oddalać. A to co? — odwrócił się nagle w stronę drzwi. — Mówiliście, że tam nikogo nie było — powiedział ostro do Kotuli.

— Nnie wiem — oczy Kotuli rozszerzyły się gwałtownie. — Może ktoś ukrył się...

— To jego żona — powiedziała Kotulowa. — Wróciła. — Kiedy? I czemużście mi o tym nie powiedzieli?

— To było, jak mój mąż poszedł na milicję. Krótko potem usłyszałem, że ktoś otwiera bramę. Pomyślałem, że to może wraca mąż, ale to była ona. Miała na sobie mnóstwo śniegu i taki dziwny wyraz oczu. „Pani wraca z kościoła?” — spytałem. Potrząsnęła głową przecząco. „Wróciłam, bo jest zimno i przykro”. Powiedziała to i ruszyła na górę, a szła tak spokojnie, jakby o niczym nie wiedziała. „Niech się pani zatrzyma!” — krzyknęłam — „pani męża nie ma w domu, niech pani poczeka u mnie!” Wtedy ona przystanąła w połowie schodów i spojrzała na mnie z góry z tych schodów i uśmiechnęła się aż mi ciarki przeszły po plecach, a potem pokiwała głową i powiedziała tak cicho, że ledwie zrozumiałam: „On nie żyje. Musiałam to zrobić”. „Jak to?” — wykrzyknęłam — „pani go zabiła?” „Tak, musiałam to zrobić”. Zakreśliło mi się w głowie. „Ależ dlaczego, tak dobrze żyliście z sobą, tyle lat...” Wtedy ona znów uśmiechnęła się tak dziwnie, że znów poczułam ciarki na plecach i powiedziałam: „Właśnie dlatego. Kiedyś to pani wytłumaczyła, a teraz chcę iść tam, zanim po mnie przyjdą”. I poszła na górę, a ja uciekałam i zatrzęsłam drzwiami za sobą.

powiedziała, że wie, ale że to niczego nie zmienia. „A co znaczyła ta brzytwa?” — spytałam. — „Nic, akurat chciał się golić”. Spytałam więc ją, czy chciała zatrzeć ślady. Powiedziała, że chciała doprowazić mieszkanie do porządku. Złożyła mu ręce, zapaliła grzanicę i czekała. Nie rozumiałem. Siedziała w fotelu i czekała — mały sierżant wyjął papierosa i zapalił, rzucając zapalnicę na podłogę i przydeptując ją butem.

Kotula milczał. Kobieta oparła ręce o stół, rozpościerając szeroko palce, jakby lada chwila miała zerwać się do ucieczki.

— Jak pan myśli, panie sierżancie... — szepnęła.

— Co takiego?

— Jak pan myśli, czy ją powiesz?

Mały sierżant zdusił papierosa.

— Nie wiem. Na szczęście sprawa do mnie już nie należy. Tak, to należy już do prokuratora. Do sądu — poprawił się. — Sprawa się przynajmniej... resztę wyjaśni śledztwo. — To ostatnie brzmiało zupełnie żałośnie. — Na wszelki wypadek uprzedzam, że będziecie przesłuchiwani. Nigdy nie nie wiadomo...

Wstał, przez chwilę ważył czapkę w dłoni.

— Dziękuję za herbatę — powiedział i otworzył drzwi. Stał w nich, mały i ciężki i czekał aż tamci zejść ze schodów: zwałista sylwetka lekarza i szczupła postać w czarnej sukni. Kiedy mijali drzwi, kobieta przystanąła i odwróciła twarz. Ponad czapką sierżanta spojrzała do pokoju. Żona Kotuli siedziała w tej samej pozycji, z rękoma opartymi o serwetę stołu.

— Idziemy — powiedział cicho sierżant.

Janusz Biniek

Cząstkę Polski zawiozą do swoich

(Dokończenie ze strony 1)

czoskach i czarnych, nieco ciężkich ale przepięknie — regionalnych, buciach — z fantazją przytupują.

„No, jak Janinko, podobna ci się?”

„Tak pani, bardzo...”

„A czy ty znałaś przedtem jakiś wielkopolski taniec?”

„Nie pani, nie znałam. Tylko krakowiak i góralski.”

„Będziecie się takich tańców uczyć na kolonii. Lubisz tańczyć?”

„Si pani... Tak pani” poprawia szybko, ale bez nadmiernej gorliwości. Raczej filuternie.

„Tymi tańcami” szepce mi do ucha kierowniczka kolonii p. Stefania Bażan, „nasze panny uratowały od sztampy miejscową akademię. Zresztą nie tylko tańcami. Kiedy Przybylska z Francji powiedziała ten swój wierszyk taki o tęsknocie za Polską — kilka osób się ponoć rozplakało. No i nasza Małgosia podbiła serca swoim wdziękiem w tańcu. Niech pani na nią spojrzysz...”

Małutka Małgosia, najmniejsza ze wszystkich tancerek kroczy w pierwszej parze z czarującą uśmiechniętą, różową buzią. Może kiedyś zatańczy w naszej „Wielkopolsce”?

Dzisiaj zielone wino zagląda już do okien pierwszego piętra budynku, mieszczącego co roku nową porcję spragnionych Polski małych mieszkanki Francji, Niemiec, Belgii, Austrii. Tym razem 96 kolonistek z zagranicy reprezentuje tylko Polonię francuską. Po spacerze wędrują schodami na to piętro i odpoczywają w swoich kolorowych sypialniach. Każda sala ma inną pościel: niebieską, różową, żółtą. Każda grupa ma też inną nazwę: są „Niezapominajki”, są „Misy”. Kąpiele słoneczne odbywają się tu w rozległym, ogrodzonym drucianą siatką parkulesie, na piaszczystym brzegu malowniczego jeziora, przy drewnianych pomostach. Pływać na razie nie wolno: pogoda kaprysi. Kiedy zaś uroki rodzimego, bnińskiego zakątku nieco już tracą na atrakcyjności — opiekunki załadują swoją gromadkę do specjalnych autokarów i powiozą na oglądanie Polski. Będzie to oczywiście tylko sam deser — czegoś posmakować można w ciągu paru dni? A więc stare Opole i Kraków, stara Wieliczka i Ojcow — a potem już same atrakcje: kolejka na Kasprowy i spływ po Dunajcu góralskimi tratwami.

Za to wszystko podziękuję potem panu premierowi delegacja kolonii, która — do rocznym zwyczajem — pojedzie do Warszawy z tą ważną wizytą.

Proszę pani, to sobie trzeba wyobrazić.

My to dobrze znamy z opowiadań i z listów. Pani Cecylia Bogdas, zastępcza kierowniczki oprowadza mnie po 6-tygodniowym królestwie małych kolonistek. „Kiedy taka dziewczynka wraca do domu, oni tam z tego robią wielkie święto, rodzinne. Sprasza wszystkich krewnych i znajomych, a ona musi dokładnie wszystko opowiadać. Co widziała, gdzie była, co słyszała, jak my się tu ubieramy, co śpiewamy, co gramy w kinie... Czasami takie zebrania rodzinne po-



Fot. (3) Cz. Kaźmierczak

wtarzają się aż do Gwiazdki. Bo przecież każda z nich zabiera ze sobą do swego Mericourt czy Sallaumiens kawał Polski, kawał naszych nowych czasów, których oni są tam spragnieni, ciekawi, o których dokładnie nie wiedzą. A ktoś lepiej opowie, ktoś bardziej przekona niż rodzona córka, która ci powie: „nie mam, to nie tak — ja widziałam...”

Wanda Chila

Józef Baranowski

Z elegii

o powstaniu warszawskim

Słońce miasto Warszawę
Promiennym darzyło blaskiem,
Gdy polska pieśń rozdawała
Biało-czerwoną opaskę

Maszerującej młodoci
W rytmie piosenki żołnierskiej.
To szły na swe stanowiska
Dzielne zastępy chłopięce.

Odżyło stroskane miasto
Chwilą młodzieńczej radości.
Tak nadszedł czas żołnierskiego
Boju — w porywie wolności.

Matczyne dłonie z pieśczętą
Serdeczną i oddaniem
Zegnały swych bohaterów
Pogodnym, sierpniowym ranem.

☆

Wzrusza mnie widok Twój, Warszavo,
Jak wzrusza pamięć ran śmiertelnych.
Kiedy podążam Starym Miastem
W letni, sierpniowy czas niedzielny.

Nade mną ten sam błękit nieba.
A ukoło zieleń i śmiech dzieci.
I nowy most w odblaskach Wisły,
Z widokiem najpiękniejszym w świecie.

Pozdrawiam każdą z Twoich ulic
Wspomnieniem lat, jakże odległym —
I każdy kamień Twój pozdrawiam,
Ułamek muru, czerwień cegły.

Z największą czcią wymawiam Twoje
Imię — za wszystkich rozstrzelanych,
Za zmarłych i za niepodległych.
Za wszystkie odniesione rany

Twoje, Warszavo!

Dziś na nowo

Stałaś się celem i pragnieniem.
I jeśli śpiewam pieśń o Tobie,
Z największym śpiewam ją wzrusze-
niem.

OD PIASTA i RZEPICHY

Pamiętamy to wszyscy: lekcje historii zaczynały się od legend o Piaście i Popielu, o Kraku, który zabił smoka i o Wandzie, co nie chciała Niemca, a potem uroczyste przystępowanie do dzieł Mieszka I. X-wieczna Polska wyskakiwała z historii jak deus ex machina. Oczywiście, w ciszy gabinetów historyków prowadzono żmudne badania nad prehistorią Polski, ale dla zwykłych śmiertelników preparowano ją właśnie tak — jak pamiętamy.

Tę poważną lukę w wiadomościach szerokiego kręgu czytelników wypełnia wydana ostatnio książka Stanisława Trawkowskiego, druga z kolei (po „Chrzeście Polskiej” Jerzego Dowiaty) ukazująca się pozycja popularno-naukowa z okazji Milenium.

Skomplikowany był proces tworzenia się naszego państwa. Nie tylko zresztą nasze go. Pamiętajmy, że proces powstawania państwowości polskiej — to fragment dzieł Europy środkowej i że proces ów dosyć analogicznie przebiegał w różnych państwach. Mimo to wędrówka w zamierzchłe czasy nie jest łatwa. Książka Trawkowskiego naszpikowana jest hipotezami, przypuszczeniami, ale taki już los badacza-historyka, który niewiele ma wiarygodnych źródeł. Kadłubek, czy nawet Długosz nie mieli



zbyt wielu skrupułów, jeśli idzie o prawdę naukową. To też obraz naszej prehistorii wyłania się przed nami z trudem i wielkimi oporami. Nie mniej — wyłania się.

Badania zagadnień formowania się państwa polskiego nabrały szczególnie dużego rozmachu w ostatnich czasach. Oparcie ich o założenia marksistowskiej teorii materializmu historycznego — pozwoliło wyraźniej niż poprzednio sformułować zasady współzależności przemian społeczno-gospodarczych i politycznych, które doprowadziły do ukksz-

tałowania się państwa polskiego. Duży snop światła rzucały na prapoczątki naszego państwa przedsięwzięte ostatnio intensywne badania archeologiczne i historiograficzne. Kraj nasz pokryła duża sieć stanowisk wykopaliskowych — co również pomagało rozjaśniać dawne mroki.

Autor książki „Jak powstała Polska” w oparciu o najnowsze badania, o liczne źródła — stare i nowe — o własne hipotezy, dał czytelnikowi może jeszcze niezupełnie skryształizowany, ale w każdym razie orientujący go obraz naszej prehistorii. Porównawszy od rozluźnienia się etnicznej spójności wspólnoty prastowiańskiej, oraz po-

St. O.

Nowości

Coraz mniejsze, coraz lepsze... Taki cel stawiają przed sobą producenci radioodbiorników na całym świecie, odkąd kluczowe osiągnięcie współczesnej elektroniki: tranzystor — wprowadzono do produkcji sprzętu radiowego.

Mikroodbiorniki odznaczają się prostą obsługą. Jakiś odbiór, jaką można uzyskać z tego aparatu, jest bardzo wysoka; taki odbiornik zapewnia dobrą słyszalność 10—20 stacji radiowych.

Polska również wprowadza produkcję seryjną mikroodbiorników. Bydgoskie Zakłady Wytwarzania Elektrotechnicznych wyprodukowały trzy prototypy miniaturowych radioodbiorników. Aparat posiada wymiary 155×80×40 mm, waży 550 gramów; posiada on specjalną antenę ferrytową. Zasilany jest przez baterijkę 8-14, również produkcji polskiej, która wystarcza na 30 godzin pracy. Obyśmy go jak najszybciej ujrzeli w sklepach!

Energetycy radzieccy pracują nad projektami połączenia istniejących obecnie w ZSRR wielkich układów energetycznych, drogą przesyłu prądu zmiennego lub stałego. Obecnie w części europejskiej ZSRR istnieją trzy wielkie układy energetyczne — Centrum, Południe i Ural, o mocy jednostkowej po 5—7 milionów kw. Połączenie układów stworzy podstawę przyszłego ogólnokrajowego układu energetycznego części europejskiej ZSRR.

W Ameryce zarejestrowano patent na system nadawania sygnałów telewizyjnych za pomocą kodu, składającego się z kropek i kresek, przypominających znaki Morsego. Sygnały te przebiegają będą oceanem, by dotrzeć do innych kontynentów, gdzie zamieniane będą z powrotem na sygnały telewizyjne. Czynności przy zaszyfrowaniu i odszyfrowaniu sygnałów wykonywane będą elektronicznie maszynami matematycznymi.

Oxytetracylina — to antybiotyk wytwarzany przez promieniowce (actinomyces rimosus), odkryty w 1950 r. przez Finley'a. Tarchomińskie Zakłady, które ostatnio przystąpiły do produkcji tego antybiotyku, wprowadziły przy tym własną metodę, polegającą m. in. na zastosowaniu biosyntezy. Tarchomińska oxytetracylina zwalcza szereg niszczylieli organizmu człowieka — jak pałeczki brucelozę, laseczki tężca, zgorzele gazowej i jadu kiełbasianego, dwójki zapalenia płuc i zapalenia opon mózgowych, prątki trądu, pałeczki duru brzusznego, czerwonki i wiele innych.

Pogoda - wypadki - statystyka

Mgła i gołoledz powodują mniej wypadków, niż tzw. „aktywne niży”. O tych ciekawych zjawiskach pisze pracownik naukowy Instytutu Balneoklimatycznego w Poznaniu Władysław Wójtowicz.

1207 WYPADKÓW, ponad 100 zabitych i 1000 rannych — oto krwawe żniwo, jakie zebrałimy w ubiegłym roku na szosach Wielkopolski. Szczególnie uprzywilejowane są pod tym względem większe miasta. Jak doniósł niedawno „Głos Wielkopolski” w Poznaniu każdego dnia notuje się przeciętnie 3 wypadki drogowe! Jest to na pewno przeciętne minimum. Wiele wypadków cięższych wymyka się bo-

ny sposób działają na człowieka. Człowiek właściwie nie widzi, nie odczuwa bezpośrednio tego wpływu. Nie jest to oddziaływanie wiatru, temperatury czy wilgotności. Nie jest to też wpływ zwykłych zmian ciśnienia atmosferycznego, które mierzymy barometrem. Niemniej jednak sytuacje niżowe działają na człowieka. Wskazuje na to znamienna, potwierdzona badaniami sta-

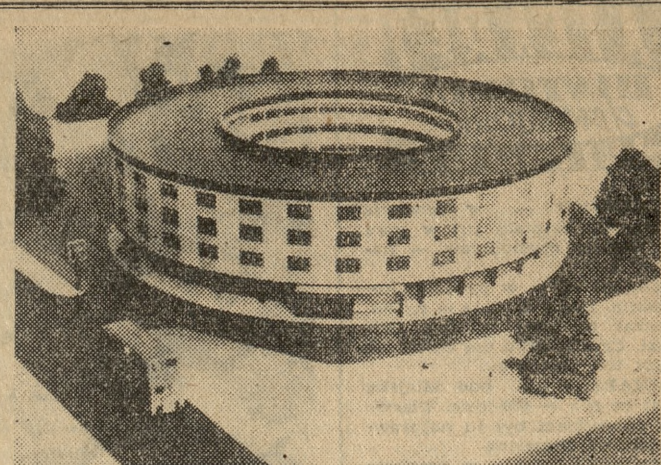
tystycznymi, zbieżność w czasie — owych osobliwych sytuacji pogodowych z dniami o nadzwyczaj dużej ilości wypadków.

Niektórzy ludzie, na przykład reumatycy odczuwają takie stany pogody. U innych osób wpływ ten trudny „umiejscowić”. Działa on jednak na cały organizm człowieka, na stan jego samopoczucia, psychiki, a więc na takie istotne czynniki, jak nastrój, odporność na zmęczenie, zdolność koncentracji, zdolność reakcji. Jak wiemy, czynniki te odgrywają główną rolę w wypadkach. Według badań niemieckich ośrodków naukowych, ponad 90 proc. wszystkich wypadków w komunikacji i ponad 80 proc. wszystkich wypadków w przemyśle, ma swe źródło w zachowaniu i siłę człowieka. A zachowanie się człowieka wiąże się jak najściślej z wymienionymi właśnie wyżej czynnikami.

Wzrost wypadków w czasie tych sytuacji może przekroczyć nawet o 100 procent (!) średnią wartość dobową. Na tak zwanych mapach błysnowych możemy naocznie stwierdzić, jak równocześnie z przesuwaniem się określonej sytuacji pogodowej przez jakiś obszar, przesuwa się też przez niego linia łącząca miejscowości, w których w tym samym czasie zaobserwowano nagły i znaczny wzrost wypadków.

Z faktów powyższych wynika możliwość czynnego wkraczania w bieg wypadków możliwość ich ograniczania. Jeśli bowiem znamy sytuację pogodową, w czasie których ilość wypadków znacznie wzrasta, to powinniśmy wykorzystać to praktycznie. Biura pogody mogłyby na przykład w odpowiednim czasie ostrzegać zainteresowane instytucje, że zaś z kolei powinny każdorazowo zwiększać nadzór nad ruchem komunikacyjnym, po budzić uwagę kierowcy i przechodnia. W rezultacie można by uniknąć wielu wypadków.

Każdy dzień, w którym przewiduje się wystąpienie niekorzystnej sytuacji pogodowej, powinien być ogłoszony „Dniem bez wypadków”, dniem zwiększonej uwagi. Kiedy je „urządzać” wskaza badania biometeorologiczne. Podstawową rolę w tych badaniach ma odpowiednio prowadzona statystyka wypadków.



W odległości niespełna dwóch kilometrów od portu lotniczego w Londynie, powstanie pierwszy hotelowy „okrągłak” w Europie.

Sto sześć lat temu...

„Lukasiewiczowska kopalnia obficie trysnęła ropą!” — doniosły pisma w styczniu bieżącego roku. Wiadomość ta — to jakby naturalne przypomnienie polskiego Prometeusza, Ignacego Lukasiewicza. Pierwsza operacja chirurgiczna, przeprowadzona przy świetle lampy, skonstruowanej przez skromnego aptekarza, odbyła się w dniu 31 lipca 1853 roku w szpitalu lwowskim.

Lukasiewicz, syn ubogich rodziców obdarzonych liczną rodziną, urodził się 23 marca 1822 roku we wsi Zaduszniki w województwie rzeszowskim. Młody Ignacy przerastał rówieśników wiejskich szerokimi zainteresowaniami, pilnością i pracowitością. Kończąc 4 klasy gimnazjalne w Rzeszowie, zgłasza się do pracy w aptece łańcuckiej. Jednocześnie pracuje w konspiracji za co zostaje osadzony w więzieniu na dwa lata (1846—1848). Po zwolnieniu wraca znowu — tym razem do apteki Mikolascha we Lwowie — i tu, obok zawodowej pracy, studiuję farmację.

Mikolasch wysłał Lukasiewicza na studia do Krakowa i na ostatnie 2 lata — do Wiednia. Lukasiewicz kończy chłubnie farmację, wraca do apteki i obok wyczerpującej pracy zawodowej z całą pasją zajmuje się problemem ropy naftowej, jej źródeł i sposobów wydobycia. Wraz z blacharzem Bratkowskim pracuje nad udoskonaleniem lampy naftowej. Zastoso-

wanie kominka zwiększającego dopływ powietrza — jest elementem decydującym o powszechnym zastosowaniu lampy naftowej. Ale prawdziwe powodzenie zawdzięcza lampa naftowa do piero wydarzeniu z dnia 31 lipca 1853 roku. Odtąd Lukasiewiczowska lampa rozpoczyna triumfalny pochód na całym świecie.

Lukasiewicz tymczasem organizuje na niespotykaną dotąd skalę pierwsze w świecie społeczne przedsiębiorstwo naftowe. Uruchamia pierwszą destylarnię ropy naftowej we

wsii Udaszowice, a następną — w Polance pod Krosnem.

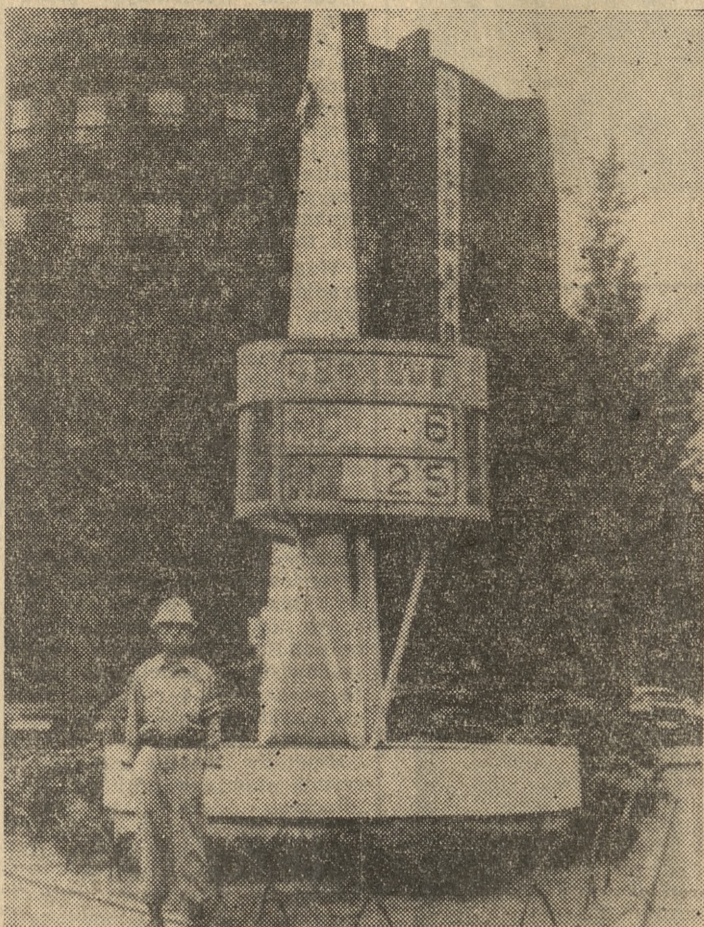
Zapotrzebowanie na ropę zwiększa się z dnia na dzień. Lukasiewicz zakłada w roku 1877 Krajowe Towarzystwo Naftowe, zdo-bywa dla siebie i swych poczyńna więcej uznania w kraju. Na jego cześć urządzono jubileuszowy obchód w roku 1878, którego organizatorem był Ignacy Kraszewski. Wreczyli on Lukasiewiczowi złoty medal i pamiątkowy album. Na wystawie wiedeńskiej przyznano Lukasiewiczowi złoty medal za wybitną działalność organizacyjną w przemyśle naftowym.

Zdając sobie sprawę, że jednym z podstawowych warunków podniesienia społeczeństwa na wyższy poziom, jest walka z analfabetyzmem, Lukasiewicz tworzy Powiatowy Komitet Budowy Szkół, zakłada szkoły zawodowe, a przy nich internaty i sierocińce, oraz własnym kosztem buduje szkołę koronarską we wsi Chorkówce. W okolicy Krosna zakłada na wsiach gminne kasy pożyczkowe, które umożliwiają wyzolenie się biedaków z zależności ekonomicznej od lichwiarzy.

Wśród robotników kopalń naftowych zakłada „brackie kasy”, które były swego rodzaju ubezpieczeniem społecznym, umożliwiającym leczenie, pobieranie zasiłków chorobowych oraz ubezpieczenia na starość. Po przepracowaniu 20 lat robotnik otrzymywał zapomogę dożywotnią. Lukasiewicz wytacza również walkę — uwieczoną w okrogu krosnieńskim skutecznymi wynikami — przeciwko alkoholizmowi. Zmarł na zapalenie płuc w roku 1882.

Kopalnia Bóbrka tryska znowu obficie naftą — a Lukasiewiczowska lampa rozprasza mrok dziś wielu jeszcze ludziom.

Mgr Władysław Kisielewski



wiem spod rejestracji. Nie będę wskazywał na wagę społeczną tego zjawiska. Chcę tylko zwrócić uwagę na znaczenie i potrzebę badań statystycznych nad tym zagadnieniem.

Statystyka — poza podaniem samych cyfr — może nam też oświecić przyczyny kształtowania się przebiegu wypadków; może tym samym wskazać nam, w którym kierunku należy skierować starania, ażeby wypadki drogowe zmniejszyć do minimum.

Chciałbym tu zwrócić uwagę na niedoceniany ciągle wpływ pogody na kształtowanie się przebiegu wypadków. Wyjaśniam z góry: nie chodzi tu o mgłę, o gołoledz, wicher itp., nie chodzi o zjawiska pogody dostrzegalne. Rola ich w ogólnym bilansie wypadków drogowych jest raczej niewielka (wzrost wypadków zaledwie w granicach 5%).

Chodzi o tak zwane „aktywne niży”, które w dziwny, niezupełnie jeszcze zna-

Na głównych ulicach Tokio ustawiono takie oto tablice informujące o ilości wypadków z poprzedniego dnia. Czytamy: 6 zabitych, 25 rannych. Może by i u nas pomyśleć o czymś podobnym? (ac)

WIELKOPOLSKIE OBRZĘDY ŻNIWIARSKIE

Wszystkie ludy rolnicze co roku uroczystości kończyły zbieranie plonów. Obchodami tymi towarzyszyły zwyczajnie i obrzędy tak stare, jak stare jest samo narzędzie pracy rolnika — pług. W tych zwyczajach, w ich symbolicznie odzwierciedlono życie i pojęcia narodowe.

Wieniec uwity z kłosów żyta w kształcie korony, wobec którego „za fraszkę królewskie korony”, ma zdobyć przez cały rok mieszkanie gospodarza. Wieniec niesie dziewczyna, która okazywała się najdzielniejszą w pracy i która przodowała przez cały czas żniw. Stąd nazwa — przodownica lub poostatnica. Jej zastęgi zostają uwiecznione koroną bujnych kłosów i polnych kwiatów.

Zwyczaj ten jest wspólny całemu naszemu narodowi, choć w różnych okolicach kraju przybierał lokalny kolor.

W Wielkopolsce i na Kujawach słynnych z rolnictwa, żniwa rozpoczynano szczególnie uroczystości, wyróżniając żniwa „wielkie” i „małe”.

Ścięcie ostatniej garści zboża zarówno pszenicy jak i żyta, którą nazywano „pepek”, odbywało się przy śpiewie i w otoczeniu wszystkich żniwiarzy.

Garść ostatniego żyta przeznaczano dla przepiórki, która gnieździ się w zbożu i której głos jest wezwaniem do żniwiarzy: „Pójdźcie żać, pójdźcie żać!”

Tę ostatnią garść żyta stroi się i starannie opieka, aby zapewnić wolne od chwastów żyto w „nowym roku”, czemu towarzyszy śpiew: „Oj wyleć raba (pstra) przepióreczko, bo już nie pójdziem w to puste półko. Plon niesiem plon! Latają płaszki pod samym niebem, dożeli żyłka ze starym chlebem, plon niesiem plon!” Chłopcy chwytają

dziewczyne, która pierwszy raz brała udział w żniwach i ciągną ją za nogi, co nazywa się „obciąganiem” przepiórki, i ma na celu zanotowanie obrzędu na zawsze w pamięci żniwiarzy. Zwyczaj ten utrwalili Andriolli.

W przystępie wesołości i pustoty kobiety chwytają z kolei ekonomka i w ten sam sposób „oborują” garstkę zboża wśród ogólnej wesołości, żartów i przyspiewków. Tej garści zboża nie wolno sprzątać do chwili, aż przepiórka odleci do „wyraju”.

Po dożęciu całej oziminy dziewczęta plotą wieniec, który ma kształt stożkowej korony, utworzonej z czterech plecionek połączonych u góry. Często wplatają do niego czerwoną kalinę, kwiaty i orzechy. Wianek niesie przodownica w otoczeniu wszystkich żeńców odświętnie przystrojonych. Zeńcy, zatrzymawszy się krótko przed zamkniętymi wrotami dziedzińca śpiewają: „Otwieraj panie szerokie wrota, niesiem wianuszek ze szczytów złota”. Wówczas otwiera się brama przed gromadą, która posuwa się wolno aż do ganku, na którym oczekują domownicy w otoczeniu przybyłych na dożynki gości. Przodownica wręcza wianek i orzechy przyniesione w fartuszkach, za co zostaje obdarowana podarkami, a wszyscy uczestnicy zaproszeni na poczęstunek.

Zwyczaj obdarzania orzechami w dożynkowym wiancu ma prastary rodowód. Pochodzi z tych czasów, gdy głównie lasy zaopatrywały spiżarnie na zimę, dostarczając orzechów, grzybów, jagód, zwierzyzny, miodu i dzikich owoców. Podobnie u starożytnych Rzymian w czasie uroczystości, bożka lasów, Fauna, na głowy Saturna i Fauna wkładano wieniec z kłosów i leszczyny jako symbolu płodności.

Warto wspomnieć, że i w czasie żniw

w Wielkopolsce bawiono się po całodziennej pracy wesoło. W okolicach Inowrocławia „zabijano kokota”. Zabawa polegała na tym, że koguta, ukrytego w garnku, stawiano w kącie izby; poszukiwał go chłopiec z zawiązanymi oczyma, gdy przybliżał się do miejsca, w którym stał garnek, dziewczęta zachęcały go do celnego ciosu jednym uderzeniem kija — uwolniony kogut przechodził na własność tego, który go z garnka oswobodził.

Zwyczaj wianka w wielu miejscach kraju stał się przeżytkiem, ale przetrwał w pięknej formie obdarowywania dostojników państwa chlebem z pierwszego ziarna nowego żyta. Zwyczaj ten również ma swą dawną tradycję i piękny rodowód.

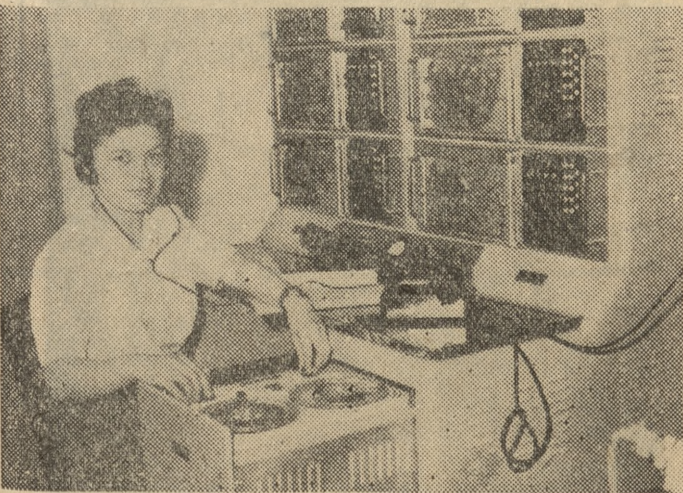
„Skoro tylko dojrzewające zboże z najweselej, najbardziej na słońce wystawionej niwy na makę zdolnym być mogło, snop jego ścieto, ziarno zmiełono i smakowity chleb upieczono. Wójt krakowski na czele radnych i gminy niósł go do zamku na srebrnym blacie, kosztownie przykrytym. I wtenczas kiedy w Krakowie przemieszkiwali monarchowie i kiedy przeniesli się gdzie indziej, zwyczaj ten zachowano. Wówczas niósł burmistrz krakowski, albo z radnych który, swemu panu bułkę chleba nowego, jako przywiązanych dzieci dla swego ojca daninę, a panujący przyjmując ją, dziękował uprzejmie, o łasce swej i względach to miasto upewniał, przemawiając do niego nieraz ze łzą w oku, pocieszał i obdarowywał”²⁾.

Wl. M.

²⁾ Z pism Łukasza Gołębiowskiego, Warszawa. 1831 r.



Rys. Stanisław Mrowiński



W Instytucie Łączności w Miedzeszynie opracowano telefoniczny automat informacyjny, który będzie podawał szereg wiadomości, na przykład repertuar kin i teatrów, bieżącą prognozę pogody, wyniki Toto-Lotka itp.

Urządzenie działające na zasadzie „zegarynki”, może jednocześnie obsługiwać 200 abonentów. Pierwszy tego typu automat zainstalowany zostanie w Warszawie.

¹⁾ Zygmunt Głogier, „Rok polski”, Warszawa, 1900 r.

NIEMCURSKO — w powiecie trzcińskim istniało już w roku 1245. Według etymologów — nazwa od kur.

NIEMLEGOWO — w powiecie kościańskim. Pierwsza data — r. 1404. Wówczas mieszkał tu Joh. Grziński. Czyżby drób nie chciał się legnąć? Kto dziś wie...

NIEMARZYN — pod Miejską Górką; za rok — 650-lecie. Pierwszym osadnikiem był tu najprawdopodobniej Niemierz.

NIEMIECZKOWO — w powiecie obornickim — nazwa od Niemców, którzy jako osadnicy zostali tu sprowadzeni przed 1361 rokiem. Stare to dziedzictwo rodu rycerskiego Przysnów.

NIEMIERZEWÓ — w powiecie międzychodzkiem od Niemira. Liczy w tym roku 555 lat od pierwszej wzmianki.

NIEMIERZYCE — w powiecie nowotomyskim zapisały się po raz pierwszy w roku 1330. Należały one wówczas do niejakiego Viglosa, czy Figla. Dziedzic tej wsi w r. 1501 i 1515 pisał się Nyemyerzyczski, zwany Dzyescha (Dzierża?).

NIENAWISZCZ pod Rogoźnem ma metrykę z datą 1388 roku z dziedzicem Mirosławem.

NIEMPRUSZEWÓ jest tak stare jak pobliski Buk. Jako Neproszewo w roku 1298 weszło do akt. Od imienia Nieprosz — stwierdza ks. dr Kozierowski. A nie od Nieprocha?

(dp)



Niedziela, spokój, wypoczynek...

Sensacja nad kanałem La Manche

„Tu jest latający człowiek!”

Londyn 25.7. Dziś o godzinie piątej rano londyńska dyrekcja policji zaalarmowana została tajemniczym telefonem z Dover. Zdyszany i przeżony policjant z tej miejscowości z trudem wykrztusił słowa: „Tu jest latający człowiek!”

Okazało się, że człowiek ten — to niejaki Ludwik Bleriot, francuski fabrykant lamp, który na zbudowanym przez siebie aparacie po raz pierwszy w historii przefrunął kanał La Manche, zdobywając w ten sposób nagrodę tysiąca funtów, ufundowaną przez redakcję „Daily Mail”.

Korespondent redakcji, który udał się do Dover, przeprowadził wywiad z Bleriotem. Oto co pisze:

„Spodziewałem się spotkać zwariowanego młodzieńca, a tymczasem Bleriot to człowiek pod czterdziestkę, który z trudem porusza się o

kulach. Widząc pytającego wzrok, skierowany na jego nogi, rzekł z uśmiechem:

— Biegać nie bardzo mogę, ale lata mi się dobrze. To pamiątka z ostatniego wypadku — rzekł wskazując na kulę. Mój poprzedni samolot zapalił się w powietrzu, dotychczas nie wiem dlaczego.

Ludwik Bleriot pobili dwa lata temu, w 1907 roku (czytelnicy oczywiście dawno już się zorientowali, że nasza sensacja jest sprzeczna 50 lat) swoisty rekord lotniczy: w ciągu ośmiu miesięcy rozbił trzy samoloty, wychodząc z wypadków bez szwanku. Dopiero czwarty samolot okazał się pechowy.

Na pytanie, dlaczego zdecydował się na lot nie będąc zupełnie zdrowym, Bleriot odpowiada po prostu:

— Chciałem być pierwszy. W namiocie koło Calais stoi przecież ma-

szyna Huberta Lathama, który dwukrotnie już startował do tego lotu. Jest on lotnikiem mało doświadczonym, ale za trzecim razem mogło mu się udać...

Dla amatorów techniki dodam jeszcze, że maszyna Bleriota jest jednoplantowcem, z silnikiem 22-konnym, o połowę mniejsza od aparatu Lathama, którego wyławiano z morza. Przelot długości 38 kilometrów trwał pół godziny.

Londyn, 26.7. Dzisiejsza prasa pełna jest opisów lotu odważnego Francuza, który przyjmowany jest w Londynie po królewsku. Pojawili się jednak również głosy zaniepokojenia, czy przyszłość angielskiego „splendid isolation” nie jest zagrożona. „Daily News” pisze: „Nie jest dobrym znakiem, że brytyjska flota stacjonowała właśnie w pobliżu Dover, gdy „latający człowiek” przekraczał kanał, wysoko ponad masztami naszych największych okrętów wojennych...”

Z ostatniej chwili: Gdy Hubert Latham dowiedział się o niespodziewanym sukcesie swego konkurenta, płakał jak dziecko. Dwa dni później wystartował do jeszcze jednej próby przelotu. Jednak i tym razem lot zakończył się nieszczęśliwie; przed samym wybrzeżem Anglii maszyna wpadła do morza, a lotnik wyszedł z wypadku ciężko ranny.

*

Obecnie, w 50 rocznicę wyczynu Bleriota, ta sama redakcja „Daily Mail” ogłosiła nowy konkurs. Tym razem zadanie będzie polegało na najszybszym przebyciu trasy Paryż—Londyn, dowolnymi środkami lokomocji. Rzecz staje się ciekawa gdy dodamy, że uczestnicy konkursu startują z centrum Paryża, spod Łuku Triumfalnego, a meta mieści się w sercu Londynu, na Picadilly. Toteż największą trudność stanowi wydostanie się z zatłoczonego śródmieścia Paryża i przedostanie się do Picadilly w Londynie. Nie wiadomo, jak tę trudność pokonać: ruch samochodowy jest ołbrzymi. Może najszybciej byłoby rowerem, albo po prostu pieszko... Dodajmy, że w czasie wycieczki trzeba stosować się do przepisów, tzn. nie wolno startować helikopterem ze środka miasta — itp.



Bez słów

W ŚWIECIE ZNACZKÓW

W Austrii ukazały się ostatnio dwa ciekawe znaczki sportowe. Czerwono-fioletowy, za 1 szylinga, przedstawia sylwetkę biegacza, jako symbolu lekkiej atletyki. Projektantem tego pięknego, wykonanego techniką stalorytniczą znaczka jest akademicki artysta-malarz Adalbert Pilch.

Drugim, zaprojektowanym przez tego samego plastyka znaczkiem jest winietka za 1,5 szylinga. Przedstawia ona piłkarza z piłką w ręce. Zielononiebieski ten znaczek został wydany z okazji Mistrzostw Świata w piłce ręcznej, które — jak wiadomo — odbywały się w Austrii.

Mgr L. K.



FILM

Henri Verneull kręcił film z Fernandem w roli głównej, w którym ten ostatni występuje w roli żołnierza w niewoli. Akcja rozgrywa się podczas ostatniej wojny; ciekawe, czy twórcy filmu uda się pokazać obóz jeniecki na wesoło.

Na zdjęciu: dobry wojak Fernandel przy przymusowej pracy, która, jak widać, niezbyt przypada mu do smaku.



Włoska gwiazda filmowa — Giulia Rubin postanowiła spędzić wakacje z dala od ludzi — na wsi. Mimo to obecność fotoreportera bynajmniej jej nie przeszkadza w „wielejkiej pracy”. Trzeba dbać o popularność...

fantazja CZY RZECZYWISTOŚĆ?

Opracował: A. TREPKA

HIPOTEZA »URANIDES«

Chciałbym jeszcze zaznaczyć Czytelników „Nowego Świata” z ciekawą hipotezą Hermanna Obertha. Uczony ten sądzi, że twórcami „latających talerzy” oraz ich pilotami mogą być „Uranides” — „rośliny zdolne do rozumowania”, które w rozwoju intelektualnym przesięgnęły ludzi o tysiące lat. Oberth sugeruje, że „Uranides” pochodzą z planet, na których tlen występuje tylko w postaci rozpuszczonej i użytkują go do oddychania, wchłaniając przez swe pory.

„Rozumnych roślin” Oberth nie można w żadnym wypadku wyobrazić sobie w postaci czegoś zbliżonego do jakiegos gatunku ziemskiej flory. Oberth przyrównuje je do roślin wyłącznie dlatego, że przypisuje im właściwość oddychania w sposób podobny jak to czynią rośliny.

Warto tu wspomnieć, iż rozgraniczenie świata istot żywych na rośliny i zwierzęta ma sens w stosunku do biosfery Ziemi. Na innych planetach linia podziału może przebiegać zupełnie inaczej. W żadnym razie podziału tego nie można uważać za obowiązujący dla całego wszechświata.

Dotychczas nie zetknęliśmy się z biosferą żadnej innej planety i dlatego brak nam kryteriów porównawczych. W tej sytuacji nie posiadamy jaśniego pojęcia w zakresie różnorodności form życia oraz środowisk, w jakich ona może powstawać i rozwijać się na innych planetach i innych układach gwiazdnych.

Hipotezie Obertha niejednokrotnie stawiano taki zarzut: „dlaczego piloci „latających talerzy” nie usiłowali nawiązać z nami bezpośredniego kontaktu?” „Moim zdaniem oni uważają, że nie warto troszczyć się o to” — odpowiada Oberth.

Może tak jest rzeczywiście. Przecież o psychice tych istot nie wiemy literalnie nic — poza logicznym przypuszczeniem, że różni się ona w sposób zasadniczy od naszej psychiki. Być może „Uranides” skolonizowały planety układu słonecznego w ogóle pozbawione biosfery, bądź posiadające ją na niskim szczeblu rozwoju, a celowo ominęły Ziemię. Może izolują się od nas w

przekonaniu, że stanowimy — oni i my — kultury zbyt odrębne, aby taki kontakt był korzystny czy w ogóle sensowny. My byśmy tak nie rozumowali, ale to nie obala powyższego przypuszczenia. Zrzućmy pychę z serca i wyzbądźmy się zarozumiałej sugestii, że my, ludzie, jesteśmy cywilizacyjnym intelektualnym i kulturalnym pepkiem Wszechświata.

Akcentem gorzkiej ironii uderzają słowa Leslie'a, że „być może — Ziemia ma złą reputację wśród turystów międzyplanetarnych, którzy dobrze znają ostrzeżenia wyryte na kosmicznych drogowskazach: Uwaga! Nie lądować na Ziemi! Tubylcy są niebezpieczni!”

Gdybyśmy istotnie w tych oczach nie stali wyżej od naszej opinii o ludożercach — nie mamy prawa się o to oburzać. Czy posiadamy pewność, że wszystkie cywilizacje przeszły przez stadium wojen? Czy nie może istnieć jakaś kosmiczna społeczność, dla której pojęcie wojny nie jest nawet zbrodnią, a tylko niezrozumiałym bezsenssem, absolutnie nie mieszczącym się w realiach ich wyobrażeń? Co takie istoty sądziłyby o moralnym poziomie ludzi — przykro pomyśleć...

DOKOŃCZENIE
ZA TYDZIEŃ

Rozwiązanie krzyżówki

S	E	K	T	A	K	O	L	N	O
K	E	S	Z	O	R	K	A	G	
A	M	E	B	Y	A	O	R	T	A
L	P	O	L	A	K	K	W	R	
A	D	A	M	D	U	K	A	T	Y
W	A	S	A	L	E	N	E	R	W
A	Z	I	O	S	K	A	R	I	
T	R	A	K	T	O	E	L	A	W
R	T	O	K	A	J	E	T	N	
A	G	A	T	A	A	C	O	T	O

Nagrody książkowe za nadesłanie trafnych rozwiązań ostatniej krzyżówki otrzymują z Poznania: B. Nowaczyk, ul. Szpitalna 7, Jacek Pechman, ul. Ratajczaka 21, E. Miasiewicz, ul. Zeylanda 12, m. 7/8, Kornelia Gibas, ul. Koscińskiego 6/54, Janina Lisiewicz, ul. Chwiałkowskiego 23, m. 11 oraz Bolesław Kupś (Września), Ludwik Staszewski (Lubin), Maria Pietrzak (Leszno), Halina Fischer (Ostrów) i Aleksandra Otto (Kornin). Nagrody wysłamy pocztą.



Każdego lata mieszkańcy małego miasteczka duńskiego Frederikssund odgrywają sztukę o Wikinгах pod kierunkiem zawodowego reżysera. Tego lata odegrana zostanie stara saga „Amled”, która była źródłem dla twórcy „Hamleta”.

Oto współcześni Wikinгыowie podczas prób widowiska.

Fot. — CAF

